

ZIEMIA zgromadziła prochy

Tuż nad Obrą — gdy idzie się uliczką w bok od Śródmieścia — widać na sporym wzniesieniu budowlę z czerwonej cegły. Może nie należałoby tego nazywać „budowlą”, bo są to właściwie ruiny starego, kazimierzowskiego zamczyska. Na miano „budowli” zasługuje o tyle, że kręcą się tu murarze, technicy i architekci, a świeża czerwień budulca znaczą ślady ludzkich rąk.

Jeszcze parę kroków naprzód po dawnym zwodzionym moście, przez łuk bramy i jesteśmy w samym środku historii.

To wszystko co z cegły — mury, baszty, szkarpy i podcienia — okazuje się „młodzieńskie”, wobec tego co kryje tu ziemia gromadzona stuleciami.

Zamkowy plac porwały łopaty archeologów w głębokie rowy i doły o prostopadłych, równych ścianach. — Na ich dnie jacyś ludzie. Małymi łopatkami centymetr po centymetrze rozgrzebuja ziemię. Zatrzymują się nad każdym znalezionym patyczkiem, kawałkiem cegły, skorupką zbitego naczynia, szkła czy żelaza. Domyślam się, że tu znaczenie ma nawet najdrobniejszy szczegół; niczego nie wolno pominąć, niczego zlekceważyć.

Mgr Stanisław Kurnatowski kierownik prac wykopaliskowych w Międzyrzeczu sprowadza po stromej drabince na dół. Z szacunkiem należnym historii stąpa po pozostałościach sprzed wieków.

Wśród „szperaczy” poruszanie. Zbiegli się otaczając jednego z robotników. Z grupy wyłania się p. Adam Kołodziej — pracownik muzealny, nadzorujący pracę robotników — i z triumfalną miną pokazuje nowe odkrycie. Przed chwilą znaleziono rycerską ostrogę ze szczytkiem skózanego paska i ostrą, zębata gwiazdka. Być może, że zgubił ją jakiś meżny woj Krzywoustego czy któregoś z późniejszych kasztelanów... Miejsce znaleziska zaznaczono długą stalową szpilką z numerkiem w łebku. Ostroga powędrowała



Rysownik Jarosław Gromadecki opisuje na metryczce znaleziony przed chwilą klucz (bez pióra) pochodzący z XIII-XIV w.

do rąk rysownika, który starannie oznacza na planie, gdzie ją odkryto, nacechuje od powiednim znakiem i opisze w metryczce.

Archeologowie w spódnicy z kolelei przeniosła na papier z podziałką dokładny, kolorowy rysunek warstw ziemi. Bowiem prawie każdy, w jakiś sposób charakterystyczny, okres istnienia grodu odznacza się innym odcieniem lub składem warstw ziemi. Np. odkopane bardzo grube pokłady końskiej mierzwy — są dla archeologa niezbitym dowodem obecności w grodzie (w tym czasie) dużej liczby zbrojnej jazdy.

Raptem jeden z robotników (są nimi przeważnie młodzi chłopcy z tutejszych szkół) woła, że dokopał się do jakichś drewnianych bali. Jeszcze parę chwil i oczom ukazuje się rząd równo położonych dębówych bierwion. Już wiadomo, że to jest droga, prowadząca



Część wykopaliska, w której znaleziono wspomnianą w reportażu drewnianą drogę. Na pierwszym planie archeolog mgr Elżbieta Naumowicz w trakcie sporządzania rysunku.

przez podwórze grodu. Odkopany dalszy jej odcinek pozwoli ustalić, np. gdzie była brama wjazdowa.

Wykopaliska mówią. Ziemia wiekami gromadziła prochy. Po części zawdzięczamy to nieco niechędęgim zwyczajom naszych praocjów, którym dzisiejsza Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna musiała zapisać niejedną mandat.

Otóż wiele set lat temu podwórze grodu leżało dużo niżej, mniej więcej na głębokości 12—15 metrów od szczytu wałów licząc. Nikt jednak nie usuwał z niego gromadzącego się błota, które przyrzucano wiązki wikliny czy bierwionami drewna. Nikt nie usuwał mierzwy, szczątków spalonych w licznych pożarach domów, śmieci czy gruzu. Na wdeptaną w błoto drogę z pni drewnianych kładziono nową, na gruzach dawnych domów — stawiano inne. Wieków trzeba było, aby zamkowy plac zrównał się prawie ze szczytami wałów. Ale ostatecznie czas dokonał swego.

Ziemia zgromadziła prochy — niepisana historia grodu. Mgr S. Kurnatowski dzieli ją pokrótce tak:

Pierwszy — to okres zamku kazimierzowskiego. Jest on oceniany jako czas rozkwitu i świetności. Gromadził, widać, dużo dobra, a życie płynęło dostatnio, bo wśród znalezisk tego okresu wiele jest przedmiotów zbytku (szkła, posrebrzanych naczyń) i części sprzętu wojskowego. Brak przedmiotów używanych przez kobiety. Pozwala to sądzić, że gród w tym czasie miał charakter wojskowy.

Drugi okres ustala się mniej więcej na lata 1270—1420. Jest on także okresem pogotowia wojennego. To właśnie na ten czas spadają wielkie pokłady — jak wyżej wspomniano — dobrze zachowanej mierzwy końskiej. Ten dowód, obok znalezisk licznych sprzętów wojskowych i odzieży (skórzane buty, pasy) nie nasręcza trudności: większość mieszkańców grodu stanowili wojownicy. W trzecim okresie gród — z uwagi na granice Polski daleko wysunięte na zachód nie miał większej styczności z obroną granic. Toteż w tym okresie wśród znalezionego tu inwentarza, dominują przedmioty pracy gospodarskiej.

Początki międzyrzeckiego grodu sięgają gdzieś IX w. Najpierw był to gród ziemny (wały), stale zresztą ulepszany i rozbudowywany. Na jego terenie — w wiele set lat później — Kazimierz Wielki zbudował ceglany zamek

obronny, otoczony wysokim murem. Różne dalej były koleje losu zamczyska, które ostatecznie zburzył najazd Szwedów. W takim stanie dostał się on, po drugim rozbiórce Polski, w ręce Prus. Do tego czasu był zawsze polską warownią (z wyjątkiem kilku lat panowania Brandenburczyków, których wypędził Łokietek).

Wiedzieli o tym doskonale Niemcy, więc żadnych prac wykopaliskowych tu nie podejmowali. Możemy być z tego radzi, bo dziś gospodarująca tu nauka dostarcza stale nowych, nie naruszonych do wód polskość tych ziem.

Prace archeologiczne prowadzą poznańscy naukowcy pod kierunkiem profesorów: Kostrzewskiego i Henzla. Rekonstrukcją i odbudową murów zajmują się architekci.

Sredniowieczny gród w Międzyrzeczu jest tylko jednym z wielu świeckich zabytków typu obronnego, stanowiących długi łańcuch nadobrzeńskich warowni. Stąd podobne wykopaliska prowadzi się w Borowym Młynie i Pszczewie; będą one kontynuowane w Trzciel i innych miejscowościach. Tu zdanie poświęć kustoszowi muzeum w Międzyrzeczu p. A. Kowalskiemu, którego usilnym staraniem należy zawdzięczać wszędzie prace wykopaliskowe. Okazuje się, że warto było niepokoić od wieków drzemającą ziemię.

Zbigniew MIKA



Tak wygląda część zrekonstruowanych już i odbudowanych murów zamku Kazimierza Wielkiego w Międzyrzeczu. Po lewej — niewidoczne na zdjęciu zejście w dół do bramy i dawnego mostu zwodzonego.

Jedziemy
po
słońce



Na marginesie jednego procesu

Uwaga: TAL!

— Co świadkowi wiadomo w tej sprawie? — pada pytanie przewodniczącego sądu.

— Chorego J. K. przywieziono do szpitala — relacjonuje świadek — lekarz i początkowo przypuszczano, że nastąpiło zatrucie jadem kiełbasianym. Później wystąpiły objawy typowe dla zatrucia talem. Aby nie błądzić, zwróciłem się do specjalisty w tej dziedzinie — dr. Władysława Widy. Posłałem mu próbki włosów chorego. Tego samego dnia dr Widy telefonicznie zawiadomił mnie, że J. K. został otruty talem i zaproponował zawiadomić Prokuraturę. Później dowiedziałem się, że wkrótce po aresztowaniu podejrzaną przyznała się do otrucia J. K. — kończy świadek i przelotnym spojrzeniem ogarnia ławę oskarżonych, na której z nisko opuszczoną głową siedzi starsza kobieta...

Złożyliśmy wizytę doktorowi Widy. Pierwsze pytanie brzmiało:

— Jak doszło do tego, że Pan Doktor zainteresował się właśnie tym zagadnieniem?

— Od przeszło 20 lat jestem lekarzem. Już przed wojną pracowałem w Zakładzie Medycyny Sądowej pod kierownictwem prof. dr. Horoszkiewicza. Zajmowałem się przede wszystkim kryminalistycznym badaniem włosów i śladów krwi. Nie był dla mnie wtenczas zrozumiały fakt, że tal, spożyty nawet w małych dawkach, powodując wypadanie prawie wszystkich włosów, nie wywoływał zmian w korzeniach włosów. Od badań nie zraziła mnie ogromna ilość prac, lansujących pogląd, że w przypadku zatrucia talem w skórze i we włosach praktycznie nie stwierdza się prawie żadnych zmian.

Postanowiłem się o tym przekonać. Będąc więc wezwany do konsultowania ciężkiego zatrucia (podejrzewano, że talem) prócz badań spektroskopowych moczu, dokonanych własną metodą, zainteresowałem się szczególnie włosami. W szóstym dniu zatrucia w prawie wszystkich włosach głowy stwierdziłem bardzo znaczne szernienia w korzeniach.

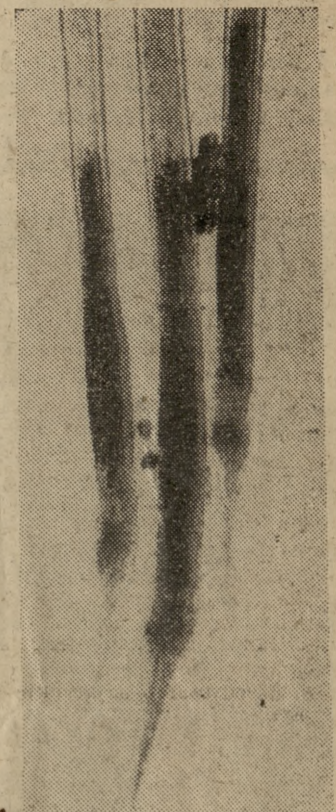
— To był początek?

— Tak. Dotychczas przeprowadziłem badania 20 chorych — zatrutych talem. A oto wyniki:

W pierwszych dniach zatrucia tworzą się charakterystyczne, łatwo dostrzegalne złogi (szernienia) w korzeniach włosów. Nie wiem, czy występują one u ludzi wcześniej niż w czwartym dniu zatrucia. U zwierząt stwierdziłem natomiast początek tych zmian już po 75 minutach. Nasilenie oraz wielkość złogów są zależne od dawki spożytego talu. Stwierdzenie w jednym włosie dwóch złogów pozwala przypuszczać, że truciznę spożyto dwukrotnie. Największy odsetek — ponad 70 proc. — opisanych zatruc stanowią takie, których okoliczności nie udało się ustalić. W liczbie tej jest zapewne jakaś część zatruc zbrodniczych, a to z powodu łatwej możliwości nabywania przetworów talu, które należałoby wycofać ze sprzedaży i akcji zwalczania gryzoni.

— Duże zainteresowanie opinii publicznej wywołał toczący się niedawno w Poznaniu proces o otrucie dwóch osób talem. Co Pan Doktor sądzi o tej niecodiennej sprawie?

— Dokonałem badań włosów żyjącego jeszcze J. K. a Woj. Inspektor Sanitarny delegował mnie do udziału w ekshumacji zwłok K. M., ale poza dokładnym sprawozdaniem złożonym przełożonemu, nie interesowałem się bliżej samym tokiem i wynikiem badań tej sprawy. Jednakże pewne obserwacje poczynione na zwłokach ekshumowanego łącznie z moim dotychczasowym dorobkiem,



Tak wyglądają korzenie włosów człowieka zatrutego talem... Widać wyraźne szernienia.

Z biuletynu zagranicznego Poznańskiego Tow. Nauk.

skłoniły mnie do dalszej pracy w tym zakresie. W rezultacie powstała praca naukowa, która znalazła się już w programie zagranicznego Kongresu Medycyny Sądowej.

— Pańska metoda posiada znaczenie chyba nie tylko w kryminalistyce?

— Umożliwia ona również wczesne zastosowanie właściwych metod leczenia. Ponadto zmiany, jakie powoduje tal we włosach, pozwolą w tych gałęziach przemysłu w których ma się do czynienia ze związkami talu, na wczesne rozpoznanie i usunięcie szkodliwego czynnika.

— Czy Pańskie odkrycie wywołało jakieś echa za granicą?

— Duże zainteresowanie wykazuje szereg ośrodków naukowych, zwłaszcza zachodnio-europejskich, gdyż na Zachodzie tal jest jeszcze szeroko stosowany (nawet w lecznictwie), a ilość zatruc w ostatnich latach wyraźnie wzrasta. Utrzymuję dość ścisły kontakt naukowy z tymi ośrodkami, niestety tylko korespondencyjny. Prowadzimy wspólne badania, w których zaczęliśmy stosować nawet izotop promieniotwórczy talu — Tl²⁰⁴. Bardzo żałuję, że nie mogłem wyjechać w ub. roku na Kongres Medycyny Sądowej do Lyonu. Zagadnienia te w moim imieniu referował tam prof. Dérobert z Paryża.

— Jak wynika z naszej rozmowy, szczególnie zaś z przedstawionej przez Pana Doktora tematyki prac napisanych po polsku i w językach obcych — za granicą bardziej interesują się Pańskimi osiągnięciami niż w kraju?

— Tak, za granicą, bardzo się interesują.

— No cóż — miejmy nadzieję, że również i u nas te sprawy doczekają się większego zainteresowania.

M. Ł.



MÓWIŁ do mnie: „Już mam po uszy wszelkich gramatyk. Siedzimy tutaj od czterech lat, przegryzamy stare papiery, wypociny naszych pradziadków w sztywnych kołnierzykach, uciekając przed słońcem. Filologowie, psjakrew! A obok ucieka ogromne, oświecone życie.”

Patrzyliśmy na spryskane południem ulice. Wprost naszego okna szła właśnie dziewczyna o gęstych, kasztanowych włosach. Nie spojrzała nawet do góry, mrużąc długie rzęsy oszronione blaskiem. Biegły dzieciaki wsłuchane w grzechot teczki jak w muszle pełne szumu nieznanymi oceanów.

Przed komendą milicji, znajdującą się naprzeciw w ocienionej zieleni willi, przystanął samochód i dwóch wojskowych wprowadziło po schodach starszego, siwego mężczyznę w płaszczu szpitalnym, o szyi owiniętej zbrudzonym bandażem.

„I pomyśleć — kontynuował — ile dramatów zawiązuje się i kończy tu gdzieś, na odległość ręki, dramatów.

TESKNOTA

tym cięższych — bo osamotnionych; ile kręgów rozbitych w powietrzu zalamuje bezgłośnie fale u naszych stóp. Nie zauważamy ich — zapatrzeni we własne tlejące iskierki, zasluchani w wodosпад własnej krwi.

Kiedys pragnąłem pisać... Czyż można jednak pisać, unosząc tylko raz po raz głowę znad książki?

Jesteśmy strasznie daleko od naszych współczesnych, jesteśmy — jakże często — przechodniakami jedynie, uciekającymi przed gwarem śródmieścia, gapiami ciekawskimi, przeglądającymi w przeszłości, jak wystawy sklepowe ułamki-wydarzeń.

Wiesz, czasem boję się panicznie. Boję się, bo wyczuwam wokół siebie zamknięty stózek zimnych ścian jakiejś monstrualnej wieży. Rozpycham go wówczas wątlami piszczałkami rąk i nóg — daremnie.

Podobno już jako niemowlę z trzech podsuwanych mi przedmiotów wybra-

łem książkę. I rzeczywiście dokąd tylko zdołałem sięgnąć pamięcią wstecz — widzę rzędy ławek, ławek, i tablic, i zmieniające się twarze nauczycieli... Przecież i dziś jeszcze czuję się uczniakiem chodzącym po ulicach ze spodniami wyświeconymi od ław szkolnych. Okropne. Tęsknię za chwilą kiedy skończę studia, a pory roku przestaną mieć barwę wyfluszczonych książek. Zaczepnę wtedy powietrza, powietrza aż do zawrotu głowy...

Nic nie odpowiedziałem — choć wypadało.

Poczułem na sobie równie silne piętno uczniowskiego lęku, prześladowające z pewnością człowieka do śmierci. Być może, za jego przyczyną, nigdy nie wyjdziemy ze szkoły i przed bezkresną sceną życia — pełną surowych, antycznych tragedii — zawsze będziemy tylko wyciągać z ostatnich rzędów bezradny wykrzyknik ręki — prosząc na próżno o głos.

Patrzyliśmy w milczeniu przez okno.

Z komendy milicji ci sami wojskowi wyprowadzili mężczyznę w szpitalnym płaszczu. Samochód charczał chwilę — i zniknął za zakrętem.

Józef RATAJCZAK

Wśród książek

POWIEŚCI ZBÓJECKIE

Któż ich nie zna, nie czyta i nie zalicza się — pokryjomu lub jawnie — do ich zagorzałych zwolenników? Od czasu, kiedy Mickiewicz pod pościelą Gustawa wyznał w „Dziadach” swą sympatię do „powieści zbójckich” — tysiące młodych i starych czytelników w Polsce i gdzie indziej pochłania z wyplekami na twarzy barwne przygody szlachetnych rabusiów, którzy zabierają bogatym złoto i oddają je ubogim, walczą o sprawiedliwość i stają się bohaterami coraz to bardziej — w miarę upływu lektury — pasjonujących i nieprawdopodobnych przygód. Ich losy stawiały się w równej mierze o nową literaturę pięknej i literatury brukowej, czerpali z nich w braterskiej zgodzie materiał i watki awanturnicze Walter Scott i... Szyller — Szkolnik, a Robin Hood, Rob-Roy i — najmłodszy z nich wszystkich — Buffalo Bill mnożą do dziś dnia swoich mniej lub bardziej literackich sobowtórów, zmieniają rycerskie pancerze na łachmany oprysków, a na wet na kobiece szatki Szaskiewiczowej z „Przekroju”, ale tak samo jak ich romantycy, czy nawet średniowieczni protoplaści karmią zawsze głodną przygodę i fantazję wyobraźnię czytelnika.

Podobne obowiązki spełniają dwie opowieści*) Tadeusza Krzszewskiego, znane już przed kilkoma laty z odcinków w „Głosie Wielkopolskim” i edycji książkowej, a — po wprowadzeniu szeregu odautorskich zmian — przypominane dziś na nowo przez „Wydawnictwo Poznańskie”. Robin Hood i jego żona Marianna zostali odgrzebanani ze starożytnych kronik i romansów awanturniczych i pokazani w swej pełnej krasie ludzi dzielnych, sprytnych i sprawiedliwych, których mądrość ludowa od lat, kiedy jeszcze Sowiński pisał swoje figle, wybiera zawsze na rzeźników własnych interesów i poglądów. Krzszewski ulepił swojego Robin Hooda, jego żonę, przyjaciół i wrogów, właśnie na podobieństwo takiego bohatera gadek i przypowieści ludowych, odebrał mu tylko wiele z satyry i komizmu groteski jarmarcznej, traktując zbójców i rycerzy bardziej serio i dramatycznie. Powieść zbójcka przybiera w interpretacji poznańskiego pisarza swoisty ton: autor nie daje się nigdy unieść rytmowi przedstawianych perypetii i awantur tak dalece, aby nie zapomnieć o wybiegu na końcu każdej z przygód, a zwłaszcza na końcu książki jasnego i niedwuznacznego sensu opowiadanych historii, ujętego właśnie w kategorię i kryteria społecznej moralności.

Zatem pewien schemat ideowy, krępujący rozhasaną i bujną fantazję, nie przeszkadza w tym, że powieść jest — jak i w innych dziełach tego pisarza — w pełni oddana atmosferze pracy w kopalni węgla, celnie podpatrzone cechy śląskiego górnika, no i — co również ważne — znajomość przedmiotu. Dla tych zalet czytelnik godzi się z dość powierzchownym potraktowaniem Szerudy jako „zwykłego” człowieka, przeżywającego osobistą tragedię, rzutującą zresztą na Szerudę — zawiadowcę kopalni — górnika. Ale też, wydaje się, nie to właśnie stanowiły główny przedmiot zainteresowania autora, całym swym życiem związanego ze śląskim ludem, nie upiększającego go, lecz po prostu kochającego. Toteż chyba najcenniejszą częścią powieści jest wszystko, co dzieje się przy tamie przed jej pęknięciem jak i po katastrofie, gdy inż. Richter zostaje odcięty od szybu wraz ze „swymi” górnikami.

I to jeszcze jedno, godne uwagi. Rzecz dzieje się na Śląsku w okresie międzywojennym, w kopalni stanowiącej własność niemieckiego koncernu. Problemy z tym związane potraktowane są pozornie lekko — bez trudu jednak czytelnik znajdzie ich głębszą wymowę.

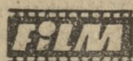
„Inżynier Szeruda” tłumaczony był na język angielski, niemiecki i francuski i wyróżniony przed wojną nagrodą w konkursie literackim krakowskiego „IKC”.

(ko)

*) Gustaw Morcinek, „Inżynier Szeruda”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1958, cena 20 zł.



W filmie „Hôtel du Nord” znakomitą kreację stworzył nieżyjący już aktor francuski, Louis Jouvet. Obok niego widzimy również świetną aktorkę, Annabellę.



Marcel Carné — dwadzieścia lat później

Bodaj tylko jeden film Marcela Carné oglądaliśmy po wojnie na naszych ekranach — „Ludzi z mgłą” ze świetnymi kreacjami Jean Gabina i Michèle Morgan. Dziś, nadrobiając wieloletnie opóźnienia, mamy możliwość bliższego zaznajomienia się z twórczością tego wybitnego artysty, czołowego przedstawiciela tzw. poetyckiej szkoły kinematografii francuskiej lat trzydziestych. A więc po sławnych „Komediantach” widzieliśmy „Wieczornych gości” (oba te filmy nakręcił Carné w latach okupacji), a obecnie kina nasze wyświetlają „Hôtel du Nord” z Louis Jouvetem, Annabellą i Arletty.

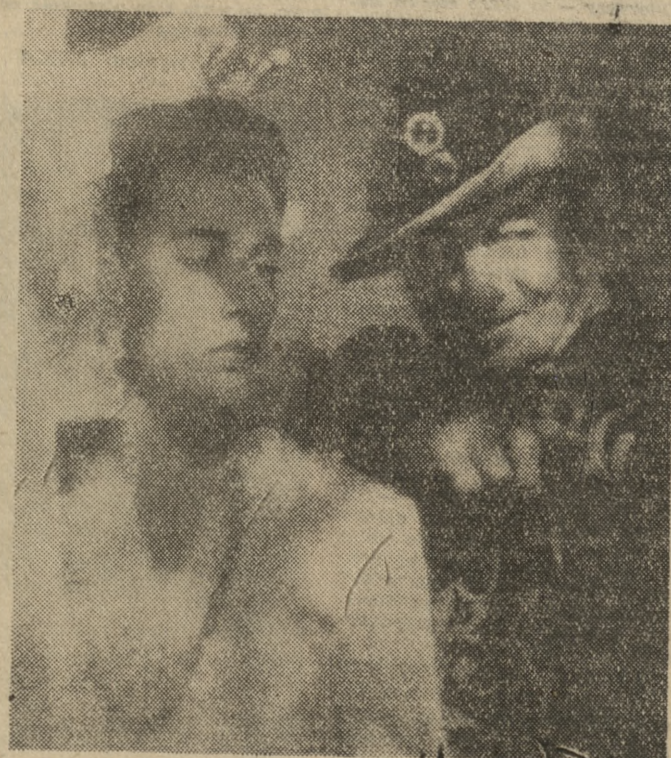
Twórczość Marcela Carné — to jedna z piękniejszych kart filmu francuskiego, mająca zresztą znaczenie szersze. Na kierunku tej twórczości zaciążyła niewątpliwie współpraca poety J. Preverta, autora wielu scenariuszy filmów Carné’a. Wyobraźnia poetycka scenarzysty połączona z zadziwiającą umiejętnością tłumaczenia jej na filmowy język obrazu przez reżysera — dały w rezultacie dzieła, których świeżość przetrwała do dziś. Jeżeli w filmach Marcela Carné znajdziemy anachronizm — to są to zawsze drugorzędne szczegóły, nieistotne dla jego wizji świata. Sposób, w jaki wielki reżyser pokazuje człowieka i świat można oczywiście odrzucić i niejednemu z nas świat ten może wydać się dziwnym, nieprawdziwym nawet. Jest to świat, w którym realistyczny rozwój wydarzeń ma znaczenie wtórne. Nie jest to realizm w powszechnym tego słowa znaczeniu. Carné zapełnia ekran ludźmi, których wysiłki są z góry skazane na niepowodzenie. „Na tym świecie nie ma szczęścia, każdy owoc ulega zepsuciu, każdy kwiat więdnienie” — tak oto określił artystyczne credo Carné’a krytyk francuski, J. Queval. Świadczą o tym już początkowe sceny „Hôtel du Nord”. Oto para kochanków przybywa do hotelu, aby popełnić samobójstwo. Podobną wymowę ma za kończenie filmu: Edmond, straciwszy Renée, wraca do hotelu, choć wie, że czeka go śmierć z ręki bandyty. Bohaterowie „Hôtelu du Nord” o nic nie walczą, nawet nie próbują walczyć. Poddają się biernie losowi.

A więc pesymizm. Tak, ale nie jest to pesymizm intelektualny, filozoficzny. Filmy Marcela Carné nie są ani protestem, ani próbą też dać odpowiedzi na pytanie „dlaczego”. Pesymizm Carné’a nie

jest podniesiony do tej rangi, co np. pesymizm Becketta. Ma on bowiem znaczenie nie tyle treściowe, ile formalne. Stanowi część składową stylu. Tak, jak melancholijny pejzaż kanału, nad którym stoi odrapany Hôtel du Nord — jest on jednym z czynników poetyckiego widzenia świata. Myślę, że jeśli tak zrozumiemy Marcela Carné, jeżeli nie będziemy zbyt kurczowo trzymać się treści, obejdzie się bez nieporozumień. Filmy Marcela Carné, są właściwie poetycką bajką (często — jak np. w „Wieczornych gościach” — legendą) o bohaterach, którzy nigdy nie byli bohaterami. A przede wszystkim są — dla nas zwłaszcza — wspaniałą uczcą ekranowej poezji, smutnej i melancholijnej, jak liryki Pawlikowskiej. Poezji, której tak niewiele spotykamy na ekranach.

Osobnym atutem „Hôtelu du Nord” — który zresztą nie należy do najlepszych dzieł Marcela Carné — jest doskonała kreacja nieżyjącego już L. Jouveta, aktora o olbrzymiej indywidualności. Jeżeli mówimy, że np. Chaplin, to przede wszystkim sylwetka, to o Jouvet’cie trzeba potwierdzić, że siła jego aktorstwa tkwi przede wszystkim w spojrzeniu, niezwykle intensywnie kontrastujących z nieruchomą zawyczajną twarzą.

Janusz BINIEK



Scena z „Gości wieczornych” Marcela Carné (Zwróćcie uwagę na ciekawe oświetlenie)

Czesław Kubalik

Repertorium morskie

Fale w kostiumach
ociekają plażą
z serca
zazdrośne wylażą meduzy
w lustrzanych oczach
żrenicami chmury
pozostają
opalone ślady
ginącego czasu



Zamknięcie wieczoru

Chmury wierzchołkom składają swe kształty
jak główki dzieci zmęczone czekaniem
i ośmielają przed zbliżeniem cieni
ubranych w liście różnobarwnych znaczeń,
których brud nocy snem ciszy zamyka,
głaszcze i śpiewa zieloną tonacją,
spłaszczoną falą oddechu motyla
o skrzydłach silnych niby ból powieki
wyrwanej zemstą ginącego słońca
z więzienia krzyków roztańczonych echem,
tłumionym
w miękkiej pościeli wieczoru.



Rys. St. Mrowiński

Jak robić krasnoludki?

Oczywiście nie chodzi wyłącznie o krasnoludki. Mowa tu będzie również o Guliwerach — olbrzymach, o rozdwojonej osobowości, o bitwach morskich rozgrywanych w basenie, śniegu z waty oraz innych trickach filmowych. Wybierzemy się w podróż do Krainy Czarów, w których czarodziejami są reżyser, scenograf i operator filmowy. Siowem — w jaki sposób w kinie nabijają nas w bułkę.

Istnieją dwa zasadnicze sposoby produkowania filmowych krasnoludków. W pierwszym, filmowcy wykorzystali zasadę tzw. skrótu perspektywicznego. Otóż, jak wiemy, kamera filmowa jest „jednooka” i wszystko widzi dwumiarowo. Tę wadę zaniku perspektywy udało się zaprzęgnąć do stwarzania filmowych iluzji.

Podczas fotografowania scen, w których pożądana jest obecność krasnoludków, ustawia się osoby grające ich role w dużym oddaleniu od aparatu, blisko zaś obiektywu rozmieszcza fragmenty dekoracji, rekwizyty itp. W rezultacie na ekranie wygląda to tak, że wśród dużych (dla widzów — normalnych) przedmiotów, np. mebli, poruszają się mali aktorzy — krasnoludki. Inny sposób polega na otaczaniu aktorów przedmiotami dużych rozmiarów — efekt widzimy na fotografiach.

Istnieje też metoda tzw. podwójnej ekspozycji, gdzie dwie światłotłoczne taśmy, o odpowiednio zróżnicowanych w proporcji obrazach podczas obróbki — laboratoryjnej nanosi się na jedną — później wyświetlaną w kinie.

W ŚWIECIE MODELI

Nie wszyscy zapewne wiedzą, że wielkie sceny batalistyczne, morskie, lądowe i powietrzne często nagrywa się przy pomocy modeli — począwszy od malutkich, trzydziestocentymetrowych, aż do makiet okrętów odtwarzanych w skali 1:4.

Np. znane nam z wielu filmów batalie morskie rozgrywały się na półhektarowym basenie, w którym fale fabrykuje specjalne urządzenie, a wiatr — ustawiony nad brzegiem potężny wentylator. Widoczne z dala postacie marynarzy — to kukły.

Jako ciekawostkę dodać warto, że zdjęcia takie dokonuje się z większą od normalnej (24 klatki filmowe na sek.) szybkością, a na ekranie widzimy ruch nieco zwolniony — co jeszcze bardziej daje złudzenie rzeczywistości.

Niejedną ze scen walk w Warszawie w filmie „Żołnierz zwycięstwa” rozgrywała się w... studio wytwórni łódzkiej, wśród makiet domów wysokości 2 m!

Katastrofy samochodowe i kolejowe — to też domena speców filmowego tricku. Przeważnie wykorzystują się i pioną modelem, przypominającą dziecięcą zabawkę.

FERNANDELSKIE PIĘCIORACZKI I ŻYWA SŁUCHAWKA

Wkraczamy w inną dziedzinę filmowego tricku. Pamiętacie zapewne komedie „Pięcioraczki”, w której znakomity Fernandel gra jednocześnie pięciu braci i jeszcze na dodatek swego własnego tatę?! Czyżby we Francji było pięciu Fernandelów? Skądże! Wszystko i tutaj jest trickiem. Do uzyskania efektownej sceny rozmowy wszystkich braci naraz zastosowano połączone metody tzw. masek i kontrmasek oraz pięciokrotną ekspozycję. Wygląda to w ten sposób, że przed kamerą filmową wstawiono specjalną zasłonę (maskę) zasłaniającą 1/5 pola widzenia obiektywu. W część „widzia-

na” przez obiektyw wszedł Fernandel, ucharakteryzowany na jednego z braci. Zagrał epizod i teraz taśmę cofnięto, odsłonięto następną 1/5 pola widzenia, zasłaniając (kontrmaską) pole fotografowane. Znow Fernandel, tym razem jako drugi brat. Tak powtórzono to pięć razy. Łatwiej cała rzecz wygląda, gdy potrzeba tylko jednego sobowtóra.

Gdy już mowa o filmach francuskich, warto wspomnieć dowcipną scenkę „żywej słuchawki” i nasyconą trickami „Parady natrętwów”. Tak słuchawka jak i inne przedmioty w tego rodzaju scenach ożywiają niewidoczne lub usuwane z taśmy podczas obróbki... druczki i nylonowe nitki. A my, biedni, wierzmy w samodzielną tańczącą czarownicę...

POD WODĄ I NA ŚNIEGU

Sławny film znanego badacza Hansa Haasa „Przygoda na Morzu Czerwonym” zrealizowany był w naturalnych warunkach podwodnych, ale w filmach fabularnych...

Mroźną krew w żyłach sce-

ny walk z podmorskimi stworami filmowcy robią w basenach, stworzy przeważnie są gumowe, ale my, naiwni, wierzymy — i włosy stają nam dęba na głowie.

Inna metoda, to ustawianie aktorów między dwoma płaskimi akwariami — przez jedno z nich „patrzy” kamera...

Śnieg, który widzicie czasem na ekranie, powstaje często z soli, mialkiego gipsu, naftaliny i kredy. Sztuczny śnieg ułatwia ekipie filmowej pracę niezależnie od pogody. Śnieg na drzewach i ścieżkach imituje wata, sople lodu wytwarza się ze szkła, zawieruchy fabrykują wentylatory dmuchające drobno pociętym pierzem i pudrem.

W wielkich wytwórniach produkuje się śnieg prawdziwy, z mialkiego lodu.

Śpośród tysięcy sposobów „bujania” filmowych widzów wybraliśmy tylko kilka, naszym zdaniem najciekawszych. Obraz jest w dalszym ciągu niepełny. Dla interesujących się tymi zagadnieniami — polecamy dwie książki (na podstawie których opracowano ten artykuł) — Jerzego Giżyckiego. „W filmie nie ma rzeczy niemożliwych” oraz Marcja Sienskiego „Filmowe zdjęcia trickowe i specjalne”. Warto przeczytać. Dowiedziecie się z nich nie tylko jak robić krasnoludki, ale również wiele innych niezwykłych rzeczy.

(baj)



Prezentujemy polski prototyp autoskutera dla inwalidów, który można obsługiwać jedną ręką. Tylko — kiedy nasza motoryzacja wyjdzie poza sferę prototypów?

Wędrówki po starym Poznaniu

Restauracja Metlera za ogrodem Fehla (Park Moniuszki) była czymś w rodzaju obozu kondycyjnego dla spacerujących poznaniaków. Szanując się obywateli mieli jednak znacznie szersze horyzonty.

Już w XVI i XVII wieku Szeląg, Nowe Ogrody (Ogrody), Wymykowo (Chudoby i pasaż „Apollo”), Wenetowo (sąsiedztwo Domu Żołnierza — do niedawna plac cyrkowy), Pęclaw (później Kundorf-Cieszkowski-Libelta), Winiary czy nawet Naramowice należały do ulubionych wilegiat.

Właściwa jednak turystyka poznaniaków rozwinęła się dopiero w wieku XIX. Badał najpopularniejszą była Dębina i Droga Dębińska. Ileż to nazw najrozmaitszych ogrodów i ogródków pamięta my do dziś. I ileż to wspaniałych — nie tylko rozrywkowych imprez — miejsc te widziały! Kolumbia, San Domingo, Dwór Szwajcarski, Ogród Wolności, park Wiktoria... i nad inne najwzruszalsze „ptasia ląka” czy jak kto woli „fogelka”, po prostu „Wesołe Miasteczko”.

Za to niewielu zapewne pamięta lub wie, że Droga Dębińska powstała na życzenie Ludwika Radziwiłłowej, żony księcia-namiestnika Antoniego Radziwiłła. W lasu dę-

„KREMZEREM” NA DROGĘ DĘBIŃSKĄ

bińskim wybudowano nawet willę „Ludwika”. W 20-tych latach zeszłego stulecia należało do dobrego tonu przechadzać się, wypoczywać i bawić przy „księżcej drodze”. Jeśli tylko pogo da dopisała, cały Poznań wylewał się dostojnie w tym kierunku. Nadto poznaniacy to raczej społeczność przyzwyczajona do wernia, toteż i mo da ta, „na Drogę Dębińską”, przetrwała 90 lat. Prawie wiek cały, do pierwszej wojny światowej.

Każdy ogród czy „park” na tej trasie miał swoją klientelę. Bywały publik i publiczki. „Fogelkę” okupowała przede wszystkim młodzież. Zresztą karuzele, huśtawki i strzelnica do dziś dnia zachowały swą młodzieńczą atrakcyjność. Brac reżenicka wszelkich stopni bawiła się głównie w Kolumbię, druhowie Sokoł i brac śpiewacka gromadzili się w San Domingo. Ogród Wolności i Dolna Wilda — to ulubione miejsca spotkań kół postępowych, socjalistów. Nie tylko dla samej zabawy, ale i dla często zamaskowanych spotkań organizacyjnych. Droga Dębińska i jej okolice były dla poznaniaków tamtych lat najpopularniejszą bazą dla wszelkiej społecznej działalności, dla ducha czy też dla ciała. Tam śpiewano i gimnastykowano, stamtąd ruszały pochody i Majowe.

Nowości z kraju i ze świata

Raz po raz prasa donosi o nieszcześliwych wypadkach w górach. Lekko myślnym turystom przychodzi z pomocą Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, któremu niejednokrotnie utrudnia prowadzenie akcji ratunkowej brak odpowiedniego sprzętu. Ostatnio GOPR w Zakopanem otrzymał upragnione radiostacje przenośne. Sześć tych radiostacji, ofiarowanych przez Wojsko Polskie umożliwi szybkie porozumienie się oddziałów ratowniczych w czasie akcji.

Pięciu polskich grotołazów pod kierownictwem mgr. B. Burcharda uda się do Hiszpanii, gdzie weźmie udział w wyprawach do starych, jeszcze nie zbadałych jaskiń. Polscy grotołazi mają już za sobą doświadczenie nie zawsze udanych wypraw krajowych i bardziej szczęśliwych wypraw w góry Bułgarii oraz do najgłębszej groty świata — jaskini Berger we Francji.

Radzieckie Linie Lotnicze „Aeroflot” podpisały ostatnio umowę z kilkoma towarzyszami żeglugi powietrznej — członkami IAKA, o obniżenie cen biletów samolotowych. Tak więc np. przelot na trasie Moskwa — Londyn i z powrotem kosztuje obecnie 118 funtów, (przed obniżką 142,8 funta).

Do francuskiego urzędu patentowego zgłoszono ulepszenie polegające na tym, że wynalazca francuski otrzymał trójwymiarowy obraz telewizyjny przez zastosowanie do zwykłego telewizora nieskomplikowanego urządzenia składającego się z dwu zwierciadeł. Przed ekranem telewizora ustawiono zwierciadło, którego powierzchnia ma wielką krzywiznę. Rzuciła ona odbicie na drugie zwierciadło, znajdujące się nad ekranem. W tym drugim lustrze powstaje powiększony obraz przestrzenny.

Z cyklu Ziemi Zachodnie



Trzebiatów

Rys. Stanisław Mrowiński

Snróbuymy odszukać

„Świętego Jerzego” i „Złotego Lwa”!

Tajemnice dna Wisły

„Ponieważ Jegomość pan Strobant wyjechał do Warszawy, aby Jego Królewskiej Mości zdać rachunki i spisy załóg okrętowych, a wraz z nim wyjechać musiał pisarz Jan Heppen, z powodu spisów, w jego nieobecności nie czyniono żadnych zapisów poza tym, co Jego Łaskawość pan Posse sam wpisał (...) i prawie przez cały sierpień pracowano przy wydobywaniu dział okrętowych i podnoszeniu obydwa wraków” — zapisano w dniu 1 sierpnia 1628 roku w dzienniku komisarzy okrętowych Zygmunta III. Od daty tego zapisu upłynęło 330 lat, ale zawarta w nim informacja może być cenna nie tylko dla badaczy dziejów polskiej floty. Zainteresować winna oprócz badaczy-teoretyków, także i praktyków. Bowiem

kto wie, czy podobnie jak wspomniany diariusz ponad trzy wieki przebywał w zapomnieniu bibliotecznym nie spożywają również w piasku i mule rzeczonym na dnie ujścia Wisły szczątki wzmiankowanych w diariuszu okrętów...

Zapis kronikarza z sierpnia 1628 roku dotyczy okrętów polskiej floty królewskiej, zwycięskiej pod Oliwą, a ciężko doświadczonych podczas niespodzianego ataku szwedzkich oddziałów lądowych w nocy z 5 na 6 lipca 1628 roku. Flota polska kotwiczyła powyżej Latarni, twierdzący zamykającej ujście Wisły do morza. Zakotwiczone w różnych punktach końcowego odcinka rzeki, pomiędzy Polskim Hakiem a Latarnią, okręty zaatakowane zostały przez wojska szwedzkie, które sam Gustaw Adolf sprowadził z położonej na południowy-wschód od Gdańska, Głowy Gdańskiej i które dotarły na prawy brzeg Wisły, stąd ogniem artyleryjskim wzniciły pożar na niektórych polskich okrętach. Zaskoczone załogi, nie spodziewające się ataku od strony lądu, broniły się dzielnie, jednakże nie były już w stanie odwrócić groźby klęski. Dwa okręty królewskie, flagowiec spod Oliwy „Święty Jerzy”, oraz dwumasztowa pinka „Złoty Lew”, celnie trafione i rozerwane detonującymi prochami i amunicją, poszły na dno. Inne okręty odniosły uszkodzenia...

Właśnie o wrakach „Świętego Jerzego” i „Złotego Lwa” mówi cytowany na początku zapis. Czy akcja wydobywania dział okrętowych się powiodła — kroniki milczą. Wraki obu okrętów na pewno jednak nie zostały wydobyte. I dlatego warto zachęcić polskich pletwonurków, by zajęli się badaniem polskich wód przybrzeżnych. Kryją one z pewnością nie jedną tajemnicę!

(ZAP)

Nauka na śpiąco

W książce Huxleya „Nowy świat” — nauczanie dzieci, młodzieży i dorosłych odbywało się podczas snu. Człowiek spał spokojnie, a w tym czasie miły głos z uporem powtarzał mu do ucha wiadomości, które miały się utrwalić w jego mózgu.

Pomysł pisarza próbuje obecnie zrealizować psycholog francuski J. Geneway. Jego dzieło — specjalnie skonstruowany robot — spełnia funkcje nauczyciela, oddziałując na człowieka podczas snu. Geneway zaopatrzył swego robota w magnetofon, urządzenia nadawcze, głośniki itd. Tekst, którego ma się nauczyć śpiący, powtarza się kilkanaście, a czasem kilkadesięt razy; aż jego treść zostanie niejako wtłoczona do komórek mózgowych ucznia.

Geneway twierdzi, że w ten sposób można nawet niezbyt zdolnych ludzi nauczyć wzorów fizycznych i matematycznych, słówek w obcym języku, gramatyki, dat historycznych itd.

(wk)

Tylko dla „totkowiczów”

Niejedną z amatorów Toto-Lotka nie zdaje sobie sprawy, jakie są szanse uzyskania głównej wygranej. Wystarczy przecież zakreślić tylko 6 cyfr... Na kuponie nie wygląda to tak groźnie. Nawet, kiedy ustymy, że mamy jedną szansę na 14 milionów — trudno uzmysłwić sobie, co to oznacza. Wyobraźcie więc sobie półkę z książkami, stojącymi ściśle obok siebie. Macie wybrać jedną stronę. Cała półka ma natomiast... 000 metrów długości!

Chcecie sprawdzić? Ilość wariantów obliczamy następująco: mnożymy 40 razy 48 razy 47 itd., a uzyskany wynik dzielimy przez iloczyn szeregu 1 razy 2 razy 3 razy 4 itd. Wynik — 15 933 018.

Dodajmy, że to, co czasem słyszy się od znajomych o jakichś sposobach czy systemach — nie ma najmniejszego sensu. W totku wszystko zależy od przypadku, a szanse, jak widać, są minimalne.

Wiktor TUTEJSZY



DZIEŃ DOBRY, PRZYJACIELU!...

CAF — fot. Miedza

Jeszcze o pocztce w Koninie

W związku z artykułem „Jedzie karetką, dzwonek dzwoni...” otrzymaliśmy list od ob. Zygmunta Dębowskiego z Konina, który dostarcza dalszych informacji na ten temat. Autorka listu dziwi poza tym artykuł opisujący poprzednio w „Gazecie Poznańskiej” rzekome zafacowanie pocztą sprzed pięćdziesięciu lat, kiedy listy miały przychodzić raz na miesiąc do Konina.

Ob. Dębowski podaje, że kjerownik ówczesnej pocztę, Rosjanin Gorochow, już w 1902 roku utrzymywał stałe połączenia codzienne ze Słupcą, Kolem i Kaliszem. Ciekawy był stosunek tych Rosjan do spraw polskich. Autor listu wspomina, gdy w 1905 r. siedzi w manifestacyjnym pochodzie, Gorochow stał na progu pocztę. Jeden z organizatorów pochodu, Winiarski, podeszedł do niego i na znak przyjaźni narodu polskiego i rosyjskiego w wspólnej walce o wolność publicznie się całowali. (Inny Rosjanin Gusew brał sam udział w pochodzie, za co potem był aresztowany). Gorochow utrzymywał także prywatne konie i można było poza normalnym kursem wynająć w każdej chwili tak zwaną ekstrakaretkę. Poza Gorochowem trzymali też karetki różni inni przedsiębiorcy (głównie Żydzi). Było ich około 12, jeździli oni codziennie. Trudno więc mówić o karetkce kursującej raz na miesiąc, do której naczelnik powiatu we fraku szedł odbierać pocztę (jak pisze „Gazeta Poznańska”). Do Koła karetką pocztową kosztował przejazd 1 rubla (jechały 4 osoby). A prywatną karetką jechało się za pół rubla, lecz w 6 osób. Przejazd był drogi, bo jak pamięta ob. Dębowski funt mięsa kosztował 12 kopiejek, a setnar węgla 50 kopiejek. (zp)



Słynna francuska aktorka filmowa Mylene Demongeot oraz znany Curd Jurgens.

Fot. - CAF



PEWIEŃ UŚMIECH

Film pod tym tytułem nie udał się zupełnie. Ponoć Fr. Sagan w czasie seansu uśmiechała się złośliwie.

BAL 84-00

pożyteczny nie tylko dla miłośników krzyżówek

Bal — 84-00 — to jedno z największych udogodnień znanych każdemu paryżaninowi i wielu ludziom na całym świecie związanych w jakiś sposób z Francją.

Jest to numer telefonu Centralnego Urzędu Informacji, stworzonego przez rząd francuski specjalnie w celu udzielania odpowiedzi na wszelkie zapytania związane nie tylko z Francją, jej historią i dniem dzisiejszym, ale w ogóle z szerokim wachlarzem zagadnień.

W skład personelu tej bardzo pożytecznej instytucji wchodzi po dwóch fachowców z każdego ministerstwa oraz kilkudziesięciu wybitnych rzeczoznawców z dziedziny prawa, historii, geografii i nauk społecznych. Wystarczy więc nakreślić Bal 84-00 — i zadać pytanie. Telefonistka łączy z odpowiednim urzędnikiem, który przeważnie udziela odpowiedzi z pamięci.

W wypadku bardziej skomplikowanych spraw, telefonistka notuje numer klienta i zawiadamia go natychmiast po opracowaniu zagadnienia przez ekspertów. W ciągu z górą rocznego istnienia Urzędu Informacji ani razu czekanie na odpowiedź nie trwało dłużej niż pół godziny.

Z usług jedynej w swoim rodzaju instytucji korzysta wielu ludzi, nawet poza kontynentem europejskim. Np. ostatnio pewien Amerykanin telefonował z Nowego Jorku, prosząc o wymienienie mu formalności potrzebnych do zawarcia ślubu w Paryżu z obywatelką włoską, którą poznał na wieży Eiffla. Rozmowa trwała 3 minuty.

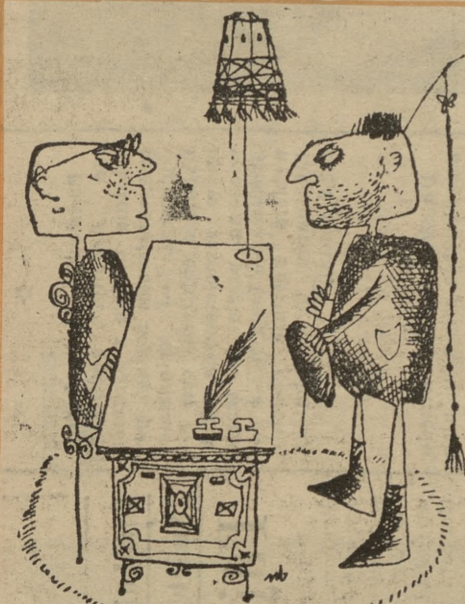
Decyzję powołania do życia Centralnego Urzędu Informacji rząd francuski motywował tworzeniem rokrocznie przez tamtejszą biurokrację wielkiej ilości ustaw, okólników i najrozmaitszych przepisów, w których trudno zorientować się nawet większości urzędników.

Instytucja taka przydałaby się także u nas. I to nie tylko miłośnikom krzyżówek, lecz również w sprawach większej wagi. A propos krzyżówek: obecnie, z powodu okresu urlopowego, musieliśmy przerwać ich zamieszczanie. Przerwa ta jednak nie potrwa długo. (at)

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 32 „Świata”

Pozłomo: Baka, Skiz, uwaga, Arad, Roma, prasa, etola, At, Orawa, Ada, ara, agawa, nd, klaka, sepie, arba, arie, anion, yard, tank. Pionowo: bure, Awo, kamera, Agata, kara, Ira, zasada, data, plaga, owale, order, awaria, ansa, akant, kier, bank, Pia, bon.

Nagrody wylosowali z Poznania: B. Nochełski, U. Korcz i B. Siwka, oraz K. Szwiniński z Jarocina i Z. Wilgocka z Krotoszyna. Książki wysłamy pocztą.



— Słyszałem, że potrzebujecie inżyniera?
— Tak, ale musi mieć co najmniej 7 klas szkoły podstawowej

Z nowego, ciekawego numeru Tygodnika „KAKTUS”.
Rys. P. Bytoński

PRZECIWKO WÓRKOM

Na „gorącej wyspie” Kuby obowiązuje zarządzenie, zabraniające kobietom noszenia sukien-worków. Zdaniem „czynników miarodajnych” można w nich łatwo ukryć broń.

PIosenka DLA KSIĘŻNICZKI

Pewien murarz włoski przesłał do pałacu Buckingham w Londynie skomponowaną przez siebie piosenkę, której tekst oparty jest na historii miłości księżniczki Małgorzaty i pułkownika Townsenda. Piosenka została przyjęta i będzie wkrótce śpiewana w radio angielskim.

SMACZNEGO

Ulubionym przysmakiem mieszkańców okolicy Brazzaville w Afryce są... liszki. Popyt na nie wzrasta się szczególnie w miesiącach zimowych. Według obliczeń ekspertów, spożycie liszek w grudniu wynosi w rejonie Brazzaville 30 gramów dziennie na osobę.

REKORD POPRAWEK

Pewien rzeczoznawca włoski ustalił, że obecny tekst opery Verdiego „Falstaff” bardzo mało przypomina oryginał. Od czasu premiery był on poprawiany 27 tysięcy razy.

PRZEŻUWACZE

W „Radio City Music Hall” największym kinie świata w Nowym Jorku, 118 sprzączek zbiera co dzień około 10 kg zużytej gumy do żucia.

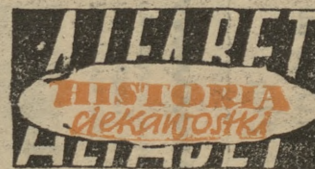
— Czy nie masz tabletki od bólu głowy?



Z myślą o jesieni



Ten młodzieńczy model z turkusowej wełny proponuje panom jeden z krawców mediolańskich.
Fot. - CAF



ŁUDWINOWO w powiecie gostyńskim powstało w r. 1837 w czasie uwłaszczenia chłopów. Właściciele dóbr chłopskich — Mycielscy woleli chłopów wraz z gospodarstwami przenieść za las, niż ich mieć pod pałacem (dziś PSK Pepowo). W roku 1845 było tam „17 dymów czyli mieszkań” i 167 dusz, czyli że na jedno mieszkanie przypadało 10 osób.

ŁUSÓWKO w powiecie poznańskim powstało w XV albo XVI wieku.

ŁUDOMSKA DĄBRÓWKA w powiecie obornickim — od pobliskich Łudom, do których należała. Tu 19 maja 1848 roku przybył 6 pułk Landwehry śląskiej, w poszukiwaniu ekonomy Teodora Idzińskiego, który przygotowywał powstanie w tej okolicy. Rewizje mieszkań i pomieszczeń gospodarskich nie dały jednak rezultatu. Wściekli żołnierze z tej przyczyny strzelił stróża Wolskiego i komorników — Gałkę i Wendlenę oraz kucharza Konstantego Śniegockiego. Do liczby ofiar doszedł jeszcze Wawrzyniec Majewski, którego wraz z poprzednio wymienionym wojsko zabrało z sobą.

Idziński byłby się uratował w sąsiedniej wiosce, w Drzonku, ale ktoś go zdradził. Prusacy podpalili stodołę, w której się ukrywał; wypłoszony, musiał się poddać.

WIRUS

Powakacyjne wyznanie patrioty

Ja nie pojadę do Miami — mnie Miami wcale nie mami!

Choć ponoć w dobrym jest tonie być w Lido albo w Mentonie —

ja nie chcę Lid ani Menton, oraz nie kusi mnie ten ton!

Jeżeli mam tu być szczery — nie pragnę wcale Rivieri!

Niech dotrze też do was głos ten: nie chcę Biarritzów i Ostend!

Jam dobrym jest patriotą! cenię dewizy i złoto!

Starczy mi atlas! W atlasie nazw wszystkich wszak nie zna się!

A jak dowiodła historia — wpierw — proszę państwa — teoria!



Na zdjęciu widzimy autora w praktyce, w trakcie bezdewizowego polewania wodą przygodnie spotkanych wtasowiczów w ludowej Żebie.

Nie brak śmiałków na tym świecie...

Nieraz słyszeliśmy o śmiałkach, którzy na różnego rodzaju tratwach przepływali ocean. Jednakże najbardziej chyba niebezpieczna była podróż pewnego Amerykanina, podjęta w ubiegłym stuleciu. Archibald Blascar, mając więcej fantazji niż pieniędzy, powziął decyzję przepłynięcia Oceanu z USA do Anglii na łodzi sporządzonej z... puszek od konserw.

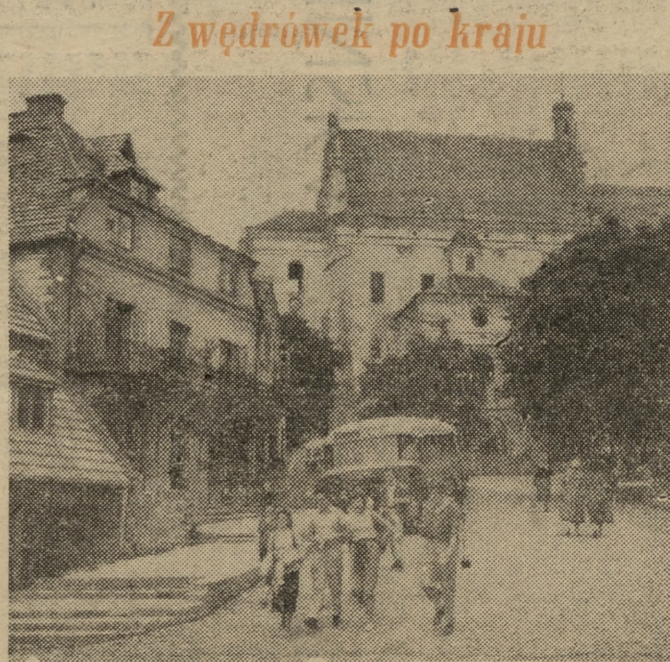
Z początku wszystko szło dobrze. Z pomyślnym wiatrem wędrował on przez Ocean do chwili, kiedy złapał go sztorm. Dwa miesiące później na brzegu Norwegii znaleziono człowieka zupełnie wycieńczonego z głodu, który prawie nie dawał znaków życia...

Po paru miesiącach kuracji zapytano go, czy chciałby w ten sposób wrócić do domu. „Gdyby mi dawano wszystkie skarby znajdujące się na ziemi, nikt mnie już do czegoś podobnego nie namówi!” — brzmiała odpowiedź.

Ale ostatnio prasa angielska podała, że pewien księgowy zamierza przepłynąć ocean wpław, popychając przed sobą gumowy ponton... (t. cz.)



Już w 6 godzin po wylądowaniu małe kurczątka z farmy w Galt (Kanada) podróżują samolotem do Europy. Ostatnio Kanada dostarcza duże ilości kurcząt do Belgii, Niemiec, Zachodnich i Wschodnich... CAF



Turyści na rynku w Kazimierzu

CAF - fot. Kubiak



BEZ PODPISU